

# 0 stylu polityki polskiej

9 października 2019

„Jednym z przekleństw naszego życia, jednym z przekleństw naszego budownictwa państwowego jest to, żeśmy się podzielili na kilka rodzajów Polaków, że mówimy jednym polskim językiem, a inaczej nawet słowa polskie rozumiemy” – Józef Piłsudski.

## Komentarz do komentarzy

Podczas Mundialu znalazłem na portalu Gazeta.pl informację pt. „Kolinda Grabar-Kitarović w szatni reprezentacji Chorwacji. Pani prezydent gratuluje awansu do półfinału”. Jeden z pierwszych komentarzy pod tekstem brzmiał: „ciekawe, czy powyrzucała sędziów chcąc obsadzić ich swojakami jak ta pisowska ku... szmata gó...jad łysy ch... duda”. Chyba nie muszę nikogo przekonywać, że tego typu wytrysk emocji – w apolitycznym przecież kontekście! – nie jest żadną jednostkową aberracją. To standard, i to nie tylko w komentarzach, ale też mediach społecznościowych.

Oto mój ulubiony przykład (sprzed kilku lat): informacja z Interii na temat: „Podnoszący się poziom wody w oceanach może wywołać globalny potop”. Pierwsze (!) trzy komentarze:

- realista: „Wody przybywa a i P0matoły P0datki podnoszą”;
- Obojętny miroman: „Chyba niektórym woda święcona za bardzo uderza”;
- juzek bonk: „A w Polsce potop żydowski nastąpił, akcja ratunkowa wskazana jak najszybciej”.

Panorama obsesji Polaków w pełnej nieomal rozciągłości: mamy i Żydów, i Kościół, i Platformę. „Mowa miłości”.

To drobny symptom powszechnego zjawiska: polską polityką rządzą obłęd i paranoja. Każde, absolutnie każde wydarzenie

okazuje się mieć polityczną wymowę. Gdy np. pojawi się informacja o jakimś przestępstwie czy przejawie patologii, to opinia publiczna z miejsca potrafi zaklasyfikować sprawcę: dla połowy to będzie katolik i wyborca PiS, dla drugiej połowy „koderasta”, „komuch”, ewentualnie „islamista” (w Polsce to synonim słowa muzułmanin, a właściwie nawet szerzej – mieszkaniec Trzeciego Świata). Jednym wszystko kojarzy się z bolszewią, drugim z Trzecią Rzeszą („Kaczyński jest niski. Hitler też był niski. Przypadek?” – ten przykład, przyznaję, wymyśliłem, ale podobnych znajdziemy wiele). Pijany nastolatek utonął? Wina religii w szkołach (to już autentyk). Psychiatra nie miałby problemu z diagnozą: obsesje, myśli nadwartościowe, urojenia prześladowcze i wielkościowe.

Granica między komentarzami, wpisami w mediach społecznościowych, notatkami na blogach i tekstami dziennikarskimi jest przy tym płynna i przenikalna. Występują tu tylko dwie barwy: czarna (a właściwie „czerwona” lub „brunatna”) i biała. Nikt nie bawi się w rozróżnianie odcieni – Pieronek to to samo co Rydzyk, Zandberg nie różni się od Millera. Różnice we wrogim obozie? Gdzie tam – ściema, ustawka, zawracanie głowy.

Fanatyzm jest odwrotnie proporcjonalny do wiedzy na temat przeciwnika, która na ogół sprowadza się do prostego schematu odruchowych skojarzeń, anachronicznych stereotypów w stylu „każdy prawicowiec jest antysemitą” a „każdy lewicowiec prorosyjski”. Różne Gazety zamykają swoich czytelników w klatkach mentalnych, które konstruują ze starannie wyselekcjonowanych i spreparowanych informacji. Na wszelki wypadek, żeby nie zostawić najmniejszej okazji dla swobodnej interpretacji, już w tytule oznajmia się, że to jest „oburzające” a tamto „wspaniałe”. Pogłoski, podejrzenia i hipotezy błyskawicznie stają się pewnikami, na których opiera się następne pogłoski, podejrzenia i hipotezy. W rezultacie czytelnicy żyją w równoległych światach, obraz rzeczywistości mają diametralnie rozbieżny, o pewnych faktach w ogóle nie

wiedzą. Ale w żadnym razie nie dopuszczają możliwości, że ten obraz może być fałszywy czy bodaj niepełny! Społeczeństwo rozpadło się na plemiona ślepo podążające za swymi szamanami i totemami.

Język społecznego dyskursu nieustannie się brutalizuje. Charakterystycznym zjawiskiem są często występujące w nagłówkach sadystyczne zwroty („to ich musiało zabość”, „internauci bezlitośni dla [tu wpisujemy nazwę przeciwnika]” itp.), pozwalające sycić się upokorzeniem wroga. Normą stało się piętrzenie epitetów – nic nie może być nazwane normalnym (neutralnym) słowem: nie ma katolika, jest tylko „katol”, nie ma lewicowca, jest tylko „lewak”; „ich” polityk to zawsze „politykier”, a pisarz to „pisarzyna” (zawsze można dodać też prefiks „pseudo”). Wartość polemiki mierzona jest umiejętnością jak największego nasycenia jej epitetami. Gdy uda nam się maksymalną liczbę słów w tekście zamienić na wyzwiska, rozlegną się pełne podziwu westchnienia: „ale zmasakrował!”. Retoryka wibruje histerią, permanentnym „moralnym oburzeniem”: jak on śmie głosić rzeczy, z którymi ja się nie zgadzam. Wykrzyknik wypiera kropkę. Mdlą wyświechtane zbitki frazeologiczne: każdy „atak” (ich – nasi nie atakują) jest „brutalny”, a każda wypowiedź (naszych oczywiście) „ważna” lub przynajmniej „mocna”.

Ta zdziczała forma jest adekwatna do wyrażanej treści. Ideologią niepodzielną panującą w Polsce jest NASIZM – ideologia bezwzględnego antagonizmu („my albo oni”) i zasadniczej negacji równości („my możemy to robić, bo jesteśmy ci lepsi, oni nie”). Wobec swojaków obowiązuje bezwarunkowa lojalność, wobec przeciwników nie obowiązują żadne reguły. Jeśli ktoś z naszych skompromituje się jakąś podłością lub głupotą, to jedyną reakcją będzie „a tamci robią to samo”. Ci sami ludzie, którzy gorszyli się romansem Petru, oburzeni byli na wyciąganie prywatnych spraw Pięty – i odwrotnie. By wydać wyrok skazujący przeciwnika wystarczy najmniejsze podejrzenie, gdy jednak w analogicznym przypadku wystąpi swojak to w

nieskończoność będziemy piętrzyć okoliczności łagodzące i wątpliwości (afery pedofilskie!). Jediną zbrodnią nie podlegającą rozgrzeszeniu jest ustępliwość wobec wroga, jakakolwiek dwuznaczność – zdrajcom się nie wybacza. Nasz, cokolwiek by nie powiedział, to z góry wiadomo, że „zmasakrował” tamtego i go „zaorał”, natomiast przeciwnika w ogóle się nie słucha (bo po co?). Nie ma mowy, żeby spróbować wczuć się w sytuację drugiej strony, pochylić nad jej racjami, dopuścić możliwość, że w jakimś ułamku mogą mieć słuszość, dopuścić, że może się mylą, ale chcą dobrze. Samo porównanie „nas” do „nich” jest obrazą!

Przeciwnik nie ma żadnych pozytywnych cech: to nie tylko polityczny zbrodniarz, ale też łajdak w życiu prywatnym, niedouczony kretyn, cham bez odrobiny ogłady, odrażająca fizycznie kreatura i do tego jeszcze śmierdzi mu z gęby. Uwierzymy w najbardziej absurdalne informacje stawiające w złym świetle przeciwnika ale do końca będziemy powątpiewać w wiadomość, że coś mu się udało (szybko zresztą o tym zapomnimy). Dotyczy to nie tylko przeciwnika, ale całej jego rodziny (częściej to „prawica” obciąża dzieci winą za grzechy rodziców, dziadków, pradziadków itd.) i wszystkich, którzy się z nim zadają, albo tylko niewystarczająco gorliwie od niego odcinają (to raczej domena „lewicy”). Co ważne, zło ma charakter immanentny, dlatego przeciwnik nie może się poprawić – kto raz był zły do końca takim zostanie.

Problem pojawia się, gdy przeciwnik powie coś, z czym w zasadzie się zgadzamy – a przecież z definicji nie możemy! W takiej sytuacji na ogół uznajemy, że tamten oczywiście kłamie, bo „tak naprawdę” wcale nie uważa tego, co my. To np. reakcja „prawicowców” na homofobiczne uwagi Wałęsy czy „lewicowców” na obronę uchodźców przez Episkopat. Zaczynamy się licytować, kto jest bardziej zaangażowany (np. w obronę demokracji, walkę z komuną/faszyzmem). Gorzej, jeśli okazuje się, że przeciwnik naprawdę popiera to, co my i przelicytować go nie jesteśmy w stanie – wówczas najwyższy czas zmienić własne przekonania,

żeby nawet przez chwilę nie zajmować takiego samego stanowiska.

Jeśli przeciwnik zbudował jakiś obiekt, dał jakieś świadczenie, ukrócił jakąś patologię – to źle, źle, wszystko źle! Orliki są niepotrzebne, a przestępcy niewinni – tylko dlatego, że zrobił to nie ten, co trzeba. Przeciwnik. Już lepiej, żeby nasz zabrał, niż tamten dał.

Jak napisał jeden z internautów: „[tu nazwa znienawidzonej partii] jest emanacją najgorszych instynktów z całego świata”. Wielu zdaje się szczerze wierzyć, że usunięcie tego źródła wszelkiego zła od razu naprawi świat: zarobki wzrosną, szef będzie miłszy, skończy się efekt cieplarniany, żona/mąż wyładnieje, znikną zgaga i nadwaga. Nie żartuję – taki wniosek wypływa ze wstępniaka na jednym z blogów.

Z przeciwnikiem nie ma żadnej płaszczyzny kompromisu, ba – dialogu nawet. Przeciwnik nie ma żadnych praw. „To was należy zdelegalizować! Nie powinniście mieć prawa do manifestowania, do głoszenia swoich poglądów” – słyszymy z obu stron. Wołający o represje w swym zacietrzewieniu nie rozumieją, że ograniczanie swobód to broń obusieczna, która na równi może dotknąć podejrzanych o komunizm jak podejrzanych o faszyzm. Pomysł, że takie prawo powinna mieć każda strona, wywołuje pełne niedowierzania zdumienie. Nienawistna jest sama świadomość, że przeciwnik egzystuje. „Żyj swoim życiem i daj żyć innym”? Nie ma mowy! Przeciwnika nie wystarczy pokonać, trzeba go jeszcze upokorzyć. Nie raz – codziennie trzeba go upokarzać, niech cierpi. Optymalne rozwiązanie: anihilacja przeciwnika. Choć oczywiście, nawet gdyby przeciwnik naprawdę rozpułynał się w nicości, niczego by to nie zmieniło – jego miano przydane zostałoby komuś innemu i walka trwałaby nadal. Świadczy o tym nieśmiertelność „komunistów” (czyli SLD/Nowoczesna/PO) i „faszystów” (czyli RN/Kukiz/PiS).

„Lewica” postrzega przeciwnika jako pozbawionego zarówno przyzwoitości, jak i rozumu: prawicowiec wyznaje

średniowieczne zabobony i po prostu nienawidzi ludzi. „Prawica” nie lepiej ocenia wroga postrzeganego jako złośliwy destruktor wszystkiego, co dobre; jej specjalnością wszakże jest odmawianie przeciwnikowi polskości (to co najwyżej „społeczność polskojęzyczna”, potomkowie najeźdźców). Notabene taka taktyka może doraźnie zwiększać poparcie wyborcze, ale długofalowo jest najskuteczniejszą metodą szerzenia kosmopolityzmu, gdyż wypycha nieprawicowców ze wspólnoty narodowej. To jednak zdaje się nie martwić „prawicy” przeświadczonej, że naród jest ekskluzywnym klubem, do którego ona sprzedaje bilety.

W rezultacie ksenofobia jest w Polsce rozpowszechniona bardziej, niż to sobie wyobrażają jej najzagorzalsi przeciwnicy. De facto WSZYSCY, po obu stronach barykady, są ksenofobami – tyle, że obcy jest rozmaicie definiowany. Dla jednego będzie to – klasycznie – cudzoziemiec, dla drugiego – „moher” z „Ciemnogrodu”. Współczesność, w której świat wirtualny przeplata się z realnym i w rezultacie czasem mamy większą styczność z bratnimi duszami z innych krajów niż z sąsiadami, sprawia, że takie redefiniowanie „obcego” i „innego” jest ze wszech miar uprawnione.

Z internetu fala hejtu wylewa się do *reala*. Coraz częściej spotyka się ludzi, z którymi zaczynając rozmowę o pogodzie możesz być pewien, że w ciągu pięciu minut przejdą do nieśmiertelnego „a Kaczyński (Tusk etc.)...”. Zacierzewienie osiąga poziom nienotowany od czasu stanu wojennego. Co ciekawe, fanatyzm i nietolerancja nie dotyczą tylko prawych i lewych ekstremistów, ale też (bodaj czy nie najbardziej) ludzi centrum, uważających się za liberałów. No cóż, można powiedzieć: chcecie się nienawidzić, to się nienawidźcie. Nienawiść ludzka rzecz. Ale nie róbcie tego w tak żenujący sposób.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że spięci, rozdygotani, ochrypnięci frustracji stanowią zapewne nieznaczną część społeczeństwa, że przysłowiowa milcząca większość czyta te

wyziewy z obojętnością, znudzeniem, zażenowaniem. Niestety normalni oddają to pole walkowerem i w rezultacie agora naszej polis należy dziś do fanatyków (i stojących za ich plecami cyników).

## **Siedem polskich grzechów głównych i okoliczności łagodzące**

Jakie są przyczyny tego potopu żółci i plwocin?

Powinienem zacząć od rytualnego potępienia niedemokratycznej przeszłości: Polacy nie mieli kiedy nauczyć się funkcjonowania w systemie demokratycznym – ani za komuny, ani w czasie zaborów (a od siebie dodam, że rządy sanacji też nie były modelowym przykładem liberalnej demokracji). Niewątpliwie destrukcyjną rolę odegrały atomizujące przemiany społeczne ostatniego ćwierćwiecza, skutecznie dezintegrujące wszelkie poczucie wspólnoty, samo pojęcie dobra wspólnego. Społeczeństwo uzyskało strukturę piasku – to miriada odizolowanych jednostek tudzież małych grup familijno-towarzyskich i sitwowych.

Nie sposób oczywiście przecenić również roli mediów społecznościowych, których istota – prywatnych środków komunikacji społecznej – prowadzi do fragmentaryzacji społeczeństwa. Rozpad więzi społecznych w świecie realnym skłania do desperackiego szukania uznania, namiastek bliskości w sieci. Ludzie w naturalny sposób lgną do sobie podobnych, a dzięki internetowi zyskali możliwość, by żyć w swoim plemieniu, nie konfrontując się z innymi. W rezultacie zamykają się w „bańkach informacyjnych” tworzonych z informacji wybiórczych, w dużej mierze fałszywych, ale codziennie potwierdzających ich światopogląd. Zarazem sieci społecznościowe, wymuszając krótką formę i szybką reakcję, znakomicie przyczyniają się do prymitywizacji przekazu. Nowe zastosowanie prawa Kopernika: to, co prostackie – wypiera bardziej złożone, to, co wrzaskliwe – bardziej wyważone. Nowe

media przyrównać można do gabinetu zwierciadeł ze staroświeckiego lunaparku. Nie tylko powielają i rozdymają nasze ego, ale też wyolbrzymiają do karykaturalnych rozmiarów nasze najgorsze cechy.

Przede wszystkim jednak – zgodnie z podtytułem – chciałbym skoncentrować się na psychologii politycznej. Nie będę sprawiedliwy. Zajmę się, co oczywiste, polskimi wadami. W tym biczowaniu duszy polskiej podążać wszakże będę za ludźmi takimi jak Józef Piłsudski, Stanisław Brzozowski czy Roman Dmowski. To pierwszy z nich powiedział: „Polska to jest prywata, Polska to jest zła wola. Polska to jest anarchia. I jeśliśmy po upadku mieli sympatię dla siebie, to nigdy nie mieliśmy szacunku dla siebie”. To ostatni z wymienionych w „Myślach nowoczesnego Polaka” przeprowadził bezlitosną wiwisekcję „biernego, miękkiego typu charakteru” rodaków pozbawionych woli, upor, systematyczności.

...Najważniejszą cechą polskiej mentalności wydaje się być miłość własna, poczucie własnej wartości przechodzące w przewrażliwienie na własnym punkcie, brak samokrytycyzmu i zadufanie. To rewers niewątpliwie pozytywnej cechy, jaką jest z kolei poczucie godności osobistej, ale z reguły dobre i złe strony splatają się niczym w symbolu yin yang. Egocentryzm sprawia, że o ile sympatie czy ideały przemijają stosunkowo łatwo, o tyle antypatie, animozje i resentymenty pozostają trwałe. Potrzeba uznania i prestiżu jest jednym z najważniejszych motorów działania Polaków (ważniejszym niż sugerowałaby piramida Masłowa), nieustanną przyczyną kłótni i rozłamów, do których ex post dorabiana jest ideologia. Dlatego głaskanie ego rodaków (także tych, którzy nie lubią innych rodaków) pozostaje nieodmiennie lukratywnym interesem. Również psychologiczna motywacja ekstremizmu politycznego tkwi w tej chęci wywyższania się, co warunkuje zarazem jego słabość (radykalizm mija, gdy ową wyższość można zmanifestować w inny sposób). Miłość własna to niewątpliwie dziedzictwo kultury szlacheckiej, krążącej wokół „szlachcica na zagrodzie równego

województwie”.

Miłość własna z towarzyszącym jej przeświadczeniem, że należy mi się coś lepszego, jest podłożem, na którym bujnie rozkrzewia się snobizm. Polski snobizm też jest historycznie uwarunkowany. W dawnej Rzeczypospolitej formalna równość braci szlacheckiej sprzyjała dyfuzji wzorców kulturowych: szlachecka klientela naśladowała obyczaje magnatów. Z kolei bezprecedensowa liczebność szlachty (o ile we Francji co setny poddany był szlachcicem, to w Rzeczypospolitej co dziesiąty, a na ziemiach rdzennie polskich co czwarty) oraz względna łatwość przenikania do stanu szlacheckiego (o czym świadczy choćby osławiona „Liber chamorum”) zbliżała ją do chłopstwa. Przejmowanie kultury szlacheckiej przez wieś zaczęło się na wielką skalę po uwłaszczeniu, a dokonało – paradoksalnie – wraz z awansem społecznym szerokich mas w PRL. Zauważył to Edmund Osmańczyk w swej „Rzeczypospolitej Polaków”, udokumentował „Czterdziestolatek” pyszną sceną zakupu „portretu przodka” w antykwariacie.

Snobizm daje o sobie znać w podwójnym kompleksie Polaków: niższości wobec Zachodu rekompensowanej wyższością wobec Wschodu i Południa. To sprawia, że polski nacjonalizm jest z reguły bardzo niekonsekwentny, jednokierunkowy, skłonny do szukania sobie protektora.

Wymieńmy pozostałe cechy naszego charakteru:

- krótkowzroczność,
- sobkowstwo,
- brak wytrwałości,
- emocjonalizm,
- ostrożność,
- konformizm.

Zdaję sobie sprawę, że o ile większość tych cech, wielokrotnie już opisywanych (choćby przez Edmunda Lewandowskiego), należy niejako do naszego narodowego kanonu, to dwie ostatnie będą budzić sprzeciw. Wszak w naszym społecznym imaginarium pielęgnujemy wizerunek Polaka jako niepokornego indywidualisty, wiecznego buntownika, ryzykanckiego zawadiaki. Jednak wszystkie elementy tej charakterystyki można uzasadnić historycznie.

Krótkowzroczność została zdeterminowana przez wąskie horyzonty dworku czy zagrody – tu żyło się niespiesznie, od żniw do żniw, nie było potrzeby ani miejsca na długofalowe planowanie. Prymat interesu doraźnego (wraz z zawiścią – bękartem szlacheckiego egalitaryzmu) sprawił, że w Polsce bliższy wróg zawsze przesłania dalszego, choć groźniejszego: sąsiad magnata, a król najeźdźcę. Tu nienawiść z reguły skupia się na przysłowiowym „ślepych mieczu”, nie na ręce. Zaściankowość Polaków występuje dziś wbrew pozorom po obu stronach barykady, po tej „wielkoświatowej” też. Przejawia się w widzeniu całego świata przez pryzmat krajowych analogii – świat okazuje się być rozdętym do monstrualnych rozmiarów polskim grajdołem zaludnionym przez powielające się w nieskończoność klony Kaczyńskiego i Tuska.

Zdekoncentrowana gospodarka i niska intensywność życia społecznego zrodziła też sobkostwo wyrażające się w braku zdolności organizacyjnych (co ciekawe, Hannah Arendt podobne cechy odkryła u żyjących w podobnych warunkach... południowoafrykańskich Burów). Sprzyjała też ugruntowaniu się zadufania we własną mądrość i siłę – skoro na odludziu nie było z kim jej konfrontować. To wszystko łączy się z kolei z gnuśnością: polską klasę panującą zdemoralizowały łatwe sukcesy XV-XVI w., gdy bez walki, bez wysiłku (jaki musieli wykazać Hiszpanie, Anglicy, Moskale) pozyskała imperium sięgające Morza Czarnego. Wyrósł z tego ideał sielskiej wegetacji w „modrzewiowym dworku”, przerywanej sporadycznymi improwizowanymi zrywami, wymuszonymi przez zewnętrzne

okoliczności.

Ten brak samodyscypliny, nieumiejętność systematycznej mobilizacji i planowego działania sztukowany jest emocjonalizmem. Aby przezwyciężyć bierność, zaangażować się – Polak musi się podniecić. Stąd obrzucanie się obelgami, pieniackie kłótnie o drobiazgi, używanie wielkich słów w drobnych sprawach itp. Nie ma sensu angażować się w walkę o np. wyższość ordynacji czteroprzymiotnikowej nad pięcioprzymiotnikową czy dyskusję nad potencjalnymi korzyściami płynącymi z różnych kierunków handlu zagranicznego – tu trzeba od razu toczyć bój o imponderabilia: o Wolność, o Niepodległość. Niestety Polaków potrafią pobudzić do działania tylko cele tak wielkie, że nierealne – Trójmorze! Lechickie Imperium! Zjednoczona Europa z Polską w samym środeczku! W rezultacie, nie osiągnąwszy ich, Polacy załamują się – stąd nieustanna huśtawka nastrojów. Mamy niekończący się cykl: zadufanie we własne siły („albośmy to jacy tacy”) – rozczarowanie porażkami („zdrada!”) – kultywowanie martyrologii („nikt nas nie rozumie”) – nawrót poczucia wyjątkowości („jednak jesteśmy fajni”) – i od nowa.

Nie potrafiąc działać długodystansowo, jesteśmy mistrzami improwizacji. Trudno Polakom odmówić pomysłowości. Dlaczego wobec tego tak niewiele przecieramy nowych szlaków, zadowalając się podążaniem za innymi? Dlaczego tak łatwo obiegowe frazesy przyjmujemy jako niepodważalne aksjomaty? Gnuśność umysłowa wynika prawdopodobnie z faktu, że Polska od chwili przyjęcia chrześcijaństwa przyzwyczajona pozostaje do konsumpcji importowanej myśli; jedyny przypadek, gdy uwierzyliśmy we własne siły – XVII-wieczny sarmatyzm – zakończył się kompromitującą katastrofą. W rezultacie nie ma w Polsce myśli oryginalnej i realizowania zaprojektowanej przez siebie ścieżki rozwoju, takiej, jaką np. poszła Japonia, azjatyckie Tygrysy, wreszcie Chiny. Stanisław Brzozowski, Kazimierz Zakrzewski, Jan Stachniuk pozostawali wołającymi na puszczy dziwakami. Dlatego od wieków spór w Polsce rozgrywa

się między zwolennikami rozwoju imitacyjnego i zależnego oraz nienadążającymi za światem konserwatystami.

Na podkreślenie zasługuje jeszcze jedna okoliczność: zwolennicy rozwoju imitacyjnego też nie nadążają za światem. W XIX w., gdy czołowym mocarstwem była Wielka Brytania, Polacy pozostawali uparcie zafascynowani Francją pamiętaną z czasów Napoleona. Drastyczny upadek Francji w 1940 r. skierował polskie sympatie ku Brytyjczykom – tyle że wtedy pierwsze skrzypce grali już Amerykanie. Teraz podążamy za Stanami Zjednoczonymi (na ich miejscu zastanowiłbym się, co to może oznaczać)...

Przejdźmy do cech kontrowersyjnych. Wbrew pozorom, konformizm nie zaprzecza indywidualizmowi w jego skrajnej, cynicznej formie. Leszek Kołakowski zauważył, że egoizm przystosowuje się bez oporu do panującej normy, jeśli uzna to za najkorzystniejsze dla siebie rozwiązanie. Paradoksalnie konformizmowi sprzyja zasada jednomyślności (*liberum veto* – „żrenica złotej wolności”). Średniowieczni kronikarze opisali, że na wymagających jednomyślności wiecach Wielebów oporni byli bici tak długo, aż przestawali sprzeciwiać się decyzji. Szlacheckie sejmiki znały instytucję „bigosowania”. W takiej sytuacji lepiej się nie wychylać. To racjonalne również z punktu widzenia zbiorowości, gdyż przy *liberum veto* tylko społeczny konformizm pozwala podejmować niezbędne decyzje. Dziś sprzyja temu dodatkowo mechanizm mediów społecznościowych: stadne myślenie, poglądy konformistyczne są wymiennie nagradzane lajkami i retweetami.

Rozwój historyczny Polski sprzyjał ostrożności. W czasie zaborów Polacy co pokolenie wznieceali powstania. Ostatnie z nich miało miejsce w 1944 roku. Nietrudno domyśleć się, że ginęli w nich właśnie przede wszystkim zawadiaccy ryzykanci. Większe szanse na przeżycie mieli cwaniacy i dekownicy. Polacy stawali się coraz bardziej sceptyczni wobec romantycznych wzorców bohaterstwa. Już w 1956 roku dziwowano się, że – w odróżnieniu od Węgrów – nie chwycili za broń. W latach 60.

komunistyczny literat Zbigniew Załuski zainicjował nieudaną kampanię na rzecz zrewaloryzowania heroizmu („Siedem polskich grzechów głównych”) – nieudaną, bo w następnej dekadzie okazało się, że ulubionym bohaterem Polaków jest sprytny sierżant Kuraś z serialu „Polskie drogi”. Sierpień ‘80 był jeszcze jedną próbą reanimacji mitu romantycznego. Pamiętamy, jak się to skończyło...

Dlatego Polacy są przekonani, że należy iść przetartym przez innych szlakiem, płynąć z prądem i co najważniejsze – trzymać z silniejszymi. W wersji łagodniejszej przejawia się to w obszczekiwaniu wroga zza nogawki Pana („nasz sojusznik wszystkim wam pokaże!”), w wersji ostrej mamy do czynienia z „polonolizą” (określenie Kazimierza Malinowskiego) – pragnieniem odcięcia się od swych uwarunkowań, rozpuszczenia się w jakiejś niezobowiązującej uniwersalności, wyzbycia się siebie. Stąd m.in. biorą się te rozdzierające społeczeństwo podziały; zarazem jedni wolą trzymać z tym, który jest silny blisko, inni orientują się na jeszcze silniejszego trochę dalej. Oczywiście jedni i drudzy nieraz się mylą.

Ubocznym efektem konformizmu jest zjawisko „oportunistycznego ekstremizmu”. Gdy jest trend w jakimś kierunku, jego sympatycy licytują się, kto wymyśli bardziej radykalny, dalej idący postulat, a bierny tłum im przyklaskuje. Gdy wiatr się zmienia, większość dotychczasowych niezłomnych bojowników, fanatyków idei, spuszcza z tonu, milknie, chyłkiem wycofuje się na z góry upatrzone pozycje.

Analizowanie współczesności przez pryzmat charakteru narodowego czy też specyficznego typu kultury stało się ostatnio modne jednak, co ciekawe, całe odium „mentalności folwarcznej” spada nie na szlachtę i ekonomów, ale na potomków fernali, którzy – cytuję – „przechowują [...] w swej pamięci starannie stosunek do wszelkiej zwierzchności, strach, urażoną dumę, upokorzenie i chęć odwetu”. Ten zabieg pozwala nam czuć podwójną wyższość: nad chamstwem kulturowym (zacofanie, agresja) i socjalnym (plebs, motłoch!) równocześnie.

# Lelum-Polelum, czyli dwie Polski

Jeśli zastosujemy powyższy klucz psychopolityczny, to zwyrodnienie polskiej polityki stanie się bardziej zrozumiałe.

Dostrzec można w społeczeństwie dwa wyraziste typy psychopolityczne (brutalnie upraszczam, pomijając wszelkie mutacje i typy pośrednie): 1. pozbawiony krzty samokrytycyzmu prostaczek, wszystko oceniający swoją miarą, uważający siebie i swego grilla za pępek świata, żądający, by świat się do niego dopasował; 2. niepewny samego siebie snob i oportunistą, w odróżnieniu od pierwszego dostrzegający dysonans między potoczną opinią a rzeczywistością, dlatego na wyścigi starający się dostosować do aktualnych trendów i tego, co uważa za „wielki świat”. Zaryzykować można hipotezę, że typ pierwszy wywodzi się mentalnie z pańszczyźnianego chłopstwa, drugi zaś ze szlacheckiej gołoty, uwieszanej magnackiej kłamki.

Ideologią jednych jest konserwatyzm i ksenofobiczny resentyment, drudzy wyznają neofilie i ojkofobie. Gdy jedni roją o imperiach i zieją odruchową ksenofobią, drudzy odcinają się od polskości i solidarności ze współobywatelami, wyrzekają się samego pojęcia narodu (który przecież w polskich warunkach tożsamy jest ze społeczeństwem). Brakuje zrozumienia, że zbiorowego interesu społeczeństwa polskiego można i należy bronić bez pompatycznego zadęcia, „mocarstwowego” pajacowania, szukania na siłę wrogów.

Choć podziały ideologiczne i postawy psychiczne nie zawsze pokrywają się z podziałami socjoekonomicznymi (klasowymi), to jednak można zaryzykować nazwanie pewnych prawidłowości. Otóż ojkofobia zrodziła się jako światopogląd zwesternizowanych elit okresu transformacji, przejmujących w pakiecie wyższy standard materialny, zachodni styl życia i „europejskie wartości” (to odwrotność zjawiska występującego ongiś na Kresach Wschodnich, gdzie ziemianie budowali kościół dla

siebie i cerkiew dla chłopów – bez względu na ich wyznanie – by nie stykać się chamami przy ołtarzu). Dziś wydaje się być ideologią niższej warstwy klasy średniej z archetypiczną postacią pracownika korporacji, nieraz sprekaryzowanego, często z awansu społecznego (plebejskie i/lub prowincjonalne pochodzenie). Właśnie ta grupa społeczna szczególnie silnie (tym silniej, im bardziej traci swą ekonomiczną przewagę nad ludem) odczuwa potrzebę potwierdzenia swego prestiżu, co realizuje poprzez kulturowe odcinanie się od swego otoczenia. „Nie po to co drugi weekend poświęcałem, by zdobyć licencjat z politologii na naszej Wyższej Szkole Zarządzania, nie po to przeniosłem się do stolicy i haruję tu jak wół w korporacji, żeby nie móc popatrzeć sobie z wyższością na januszy z mojego miasteczka!”. A tymczasem ten spawacz po zawodówce, miłośnik grilla i disco polo, w okresie koniunktury nieraz zarabia więcej i jeszcze dostaje 500+!

Wbrew pozorom istnieje jednak wspólny mianownik obu grup. Choć jedni uważają Polskę za centrum świata, a drudzy sądzą, że tym centrum nigdy nie będzie, to łączy ich właśnie chęć bycia w centrum za wszelką cenę. Obie frakcje zjednoczone są też w przekonaniu o wyjątkowości Polski – w pozytywnym lub negatywnym znaczeniu. Dla jednych to „Chrystus narodów”, dla drugich historyczna pomyłka i „czarna dziura” w środku Europy – tak czy owak, Polska jest nieporównywalna. Próba komparatystycznego ujęcia (ot, choćby porównanie ruchu narodowyzwoleńczego Polaków w XIX w. i Palestyńczyków w XX) przyjmowana jest ze zdumieniem, jeśli nie oburzeniem: dla jednych to nacjonalizm, dla drugich kosmopolityzm. „Lewica” skwapliwie przejmuje od „prawicy” jej narrację mocarstwową (że ho, ho, my z Amerykanami tworzymy nowy porządek światowy!) choć oczywiście z intencją potępienia „polskiego imperializmu”. Nietrudno tu jednak dostrzec podświadome przeświadczenie o własnej (polskiej) ważności. „Lewicowcy” nawet nie przypuszczają, jak bardzo są polaczkowaci w tej swojej snobistycznej „postępowości”, w aspołecznym narcyzmie, w pieszczącym własne ego kosmopolityzmie. „Polsko! Lecz ciebie

błyskotkami łądzą; Pawiem narodów byłaś i papuga”. Zaiste, prorocza to wizja: w „prawicowej” wersji polskiego godła orła zastępuje paw, w „lewicowej” – papuga.

Te dwa typy to twardy elektorat nadający ton polskiej polityce. Konkurujące partie nastawione są na mobilizację tego elektoratu i utrzymywanie go w stałym pogotowiu. Na dłuższą metę jest to taktyka nieskuteczna (nie da się żyć cały czas w stanie wzmożenia), o czym przekonała się Platforma, gdy w 2015 r. strach przed PiS-em przestał działać mobilizująco. Ale, jak już sobie wyjaśnialiśmy, na perspektywiczne myślenie nie ma co liczyć.

Współczesne partie polityczne to przedsiębiorstwa – spółki, których udziałowcami są politycy oraz powiązane z nimi ideologicznie i biznesowo media, kapitałem popularność polityków i wpływy mediów, a zyskiem dochody ze stanowisk obsadzanych na drodze wyborów i pozyskiwanych wtórnie reklam. Klienci-wyborcy otrzymują głównie satysfakcję symboliczno-psychologiczną polegającą na upokorzeniu przeciwnika, z rzadka tylko zaspokojenie realnych interesów. Dążąc do przejęcia jak największej części rynku wyborczego polskie partie nastawiają się na gospodarkę rabunkową, na szybki zysk. Sięgają więc po najprymitywniejszą z możliwych strategię polaryzacji: „kto nie z nami, ten przeciw nam”. Tu zwycięzca nie wyciąga ręki do pokonanego, nawet jakby ta przewaga miała trwać pięć minut. Tu triumf musi być totalny, z tańcami na grobach przeciwników. Że działa to dezintegrująco na społeczeństwo i destabilizująco na państwo? Że w wojnie domowej nie ma, nie może być zwycięzców? Kto by się tym przejmował, jeśli stawką są dieta poselska czy pensja ministra. A jak się nie powiedzie, to zawsze można ogłosić upadłość i założyć nową spółkę.

Mobilizacja polega więc na podtrzymywaniu wysokich emocji, do czego służy z jednej strony sfera symboliczna (w tym światopoglądowa i historyczna), z drugiej – kwestie personalne. Stąd demonizowanie przeciwnika. Nie walczymy z konserwatystą czy liberałem, z lewicowcem czy prawicowcem (ani

oczywiście z konkurentem do posady), lecz z „bolszewikiem”, „faszystą”, „targowiczaninem”, „wrogiem Europy”, no i rzecz jasna „agentem”. Nikt nie bawi się w rozróżnianie między stalinowcami, socjalistami i liberałami czy między nazistami, narodowcami i konserwatystami – przecież wiadomo, że każdy prawicowiec jest odpowiedzialny za Auschwitz, a każdy lewicowiec za Kołymę. Co zabawne, rzeczywiste różnice o charakterze ideowo-programowym głównymi przeciwnikami są wtórne i drugorzędne, wyolbrzymia się co najwyżej jakieś detale, żeby się jak najbardziej odróżnić. Nie należy do rzadkości zamiana pozycji przez partie: dziś głosimy to, co oni wczoraj i vice versa (jak w sprawie OFE). „Imponderabilia” służą tylko jako przydatny oręż w walce o stołki.

Dlatego w Polsce „lewica” i „prawica” wykonują nieporadny, niepewny taniec, okrążając się nawzajem – dla obu punktem odniesienia są nie wartości, ale przeciwnik, lewica jest definiowana jako przeciwieństwo prawicy i odwrotnie. W rezultacie treść tych pojęć jest zmienna, zależna od tego, co uczyni przeciwnik. „Lewicowcy”, których „lewicowość” ogranicza się do antyprawicowości, „prawicowcy”, których „prawicowość” ogranicza się do antylewicowości – z głębi duszy nienawidzą przeciwnika, ale już nie bardzo pamiętają dlaczego (a właściwie jest im wszystko jedno). Z dawnych ideałów pozostały nędzne ułamki. Lewicowość zredukowana do antyklerykalizmu, prawicowość zredukowana do antykomunizmu, patriotyzm zredukowany do rusofobii i/lub antysemityzmu, katolicyzm zredukowany do kultu Jana Pawła II i wybranych elementów obrzędowości – oto Polska właśnie.

Ale właśnie o to tu chodzi – nie o meritum, nie o konkretne rozwiązania, ale o totemy, o rekwizyty, o poczucie wyższości nad sponiewieranym przeciwnikiem, o korzystne odróżnienie się od „roszczeniowego motłochu”, „zdegenerowanego lewactwa”, „zacofanego ciemnogrodu”, o okazję do zadzierania nosa i patrzenia z góry. To sposób na podniesienie samooceny, na to, by poczuć dopływ adrenaliny, by „poćpać endorfiny”

(autentyczne sformułowanie z internetowego forum). Tu nie chodzi nawet o to, żebym ja zyskał (ani tym bardziej, żeby wszyscy zyskali) – ale żeby tamten stracił. Lepiej żeby było gorzej, niż gdyby z tamtym coś się poprawiło.

Właściwie jedno nas tylko ratuje jako społeczeństwo: ta opisywana powyżej ostrożność. Nieprzypadkowo najwięcej hejterów kryje się w internecie. Dziewięćdziesiąt procent wrzaskliwych nienawistników traci rezon, gdy postawić ich fizycznie twarzą w twarz z przeciwnikiem. Spuszczają oczy, bąkają coś pod nosem, że to może niezupełnie tak. Nagle okazuje się, że w jakichś sprawach możliwa jest zgoda. Nie chcemy fizycznej konfrontacji. Tchórzostwo nakazuje też wybierać przeciwnika najsłabszego, a nie najgroźniejszego – stąd ulubionymi obiektami ataków są KPP i NOP, na tyle słabe, że odwet z ich strony nie grozi, nikt się za nimi nie ujmie – a jak majestatycznie można upozować się na heroicznego bojownika walki ze Złem! To my stoimy na pierwszej linii, to my chronimy was przed NKWD/Gestapo! Stąd też im dalej od upadku PRL tym więcej chętnych do walki z komuną. Tu można się już śmiało odreagować. Ot, taki sport narodowy: kopanie leżącego.

## Zakończenie

Remedium na pogłębiającą się polaryzację byłoby powstanie silnej formacji centrowej, o charakterze raczej komunitariańskim niż liberalnym, działającej moderująco, będącej buforem rozdzielającym zwaśnione obozy. Pozwoliłoby to zachować spoistość społeczną (wersja dla lewicy) czy jedność narodu (wersja dla prawicy). Na razie nie widać na horyzoncie takiej możliwości – centryści i symetryści są najbardziej (podwójnie!) znienawidzeni. Być może jednak kiedyś milcząca większość społeczeństwa na tyle poczuje się zmęczona zimną wojną domową, że zechce dać szansę Nowemu Centrum.

Bo alternatywą może być gorąca wojna domowa.

Autorstwo: Jarosław Tomasiewicz

Źródło: [NowyObywatel.pl](http://NowyObywatel.pl)